

Cnotliwi z konieczności. Kto? Polscy nobliści...



Natalia Mazur 2010-11-13, ostatnia aktualizacja 2010-11-12 19:17:17.0

... prosto z poznańskiego "Marcinka"

Andrzej słyszał wokół same obce słowa. Ryczka, świętojanki, tytka, bimba, bana. Po pierwszej klasie liceum przeprowadził się z Radomia do Poznania. Koledzy z klasy dla żartu przechodzili przy nim na poznańską gwaraę. Andrzej nie znał okolic Poznania, nie wiedział nic o Lesznie, Śremie, Środzie.

Zapisał się do koła PTTK prowadzonego przez nauczycielkę chemii Marię Wallis. W letnie wakacje 1968 r. między trzecią a czwartą klasą wyjechał z kolem na obóz rowerowy na Pomorze, zbierali dla Muzeum Pomorza Środkowego materiał etnograficzny o Słowińcach. Ludzie ci, przez lata podtrzymujący polskość, po wojnie uznani przez władze za Niemców, nabrali nieufności do obcych. Przed nastolatkami otwierali się chętniej. - Najbardziej ukształtowały mnie nie te formalne lekcje, a zajęcia pozalekcyjne. Tamten obóz był jednym z momentów otwierających oczy - mówi dzisiaj Andrzej. Zastanawiał się nad studiowaniem etnografii, lecz rodzice go odwiedli. W 1969 r. dostał się na politechnikę. 39 lat po maturze odebrał nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, prestiżowe wyróżnienie zwane polskim Noblem. Dostał ją za wkład w rozwój internetu nowej generacji.

Dyrektor Ludwik Graja nazywał szkołę, do której chodził Andrzej, Zakładem. - Ten Zakład wychował sześciu z 68 polskich noblistów, to prawie 9 proc. - zauważa Gerard Sowiński ze Stowarzyszenia Wychowanków I LO im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, popularnego "Marcinka".

Jan już jako 15-latek mierzył 192 cm. Wuefista Wiktor Haglauer zauważył go natychmiast i zaprosił do drużyny koszykówki. Ulubione przedmioty Jana: chemia, fizyka, matematyka, polski. I historia z Marią Mąkową, która w czasie wojny działała w AK. - Kto to zrobił? - pytała, gdy któryś z uczniów grandził na lekcji. Klasa wskazywała kozła ofiarnego. Dwa razy profesor pozwoliła się nabrać, przy trzecim powiedziała: - Jesteście tchórze, a tchórze to zdrajcy.

Po lekcjach była koszykówka, czasem brydż z kolegami. Spotykali się w domach, włączali muzykę. - Było też wino - przyznaje Jan. - Ale znajomość win też należy do dobrego wychowania!

Jan pisał wiersze. Przed maturą wahał się: polonistyka czy matematyka? W 1965 r. poszedł na politechnikę, a 40 lat później zdobył polskiego Nobla za dyskretno-ciągłą teorię szeregowania wykorzystywaną w informatyce.

Prof. Roman Słowiński, maturzysta z 1969 r., informatyk, opracował metodykę wspomagania decyzji w oparciu o dane obciążone naturalnymi niedoskonałościami. Czy w szkole, przy odpowiedzi, też stosował coś podobnego? - Oczywiście, zdarzało się, że czegoś nie umiałem, ale w takiej sytuacji uciekałem się do własnej, nie sztucznej inteligencji - mówi. Brak przygotowania doskwierał na rosyjskim. Jak będzie: „Podejdz do tablicy i napisz datę”? Uczeń odpowiadał: „Podejdi k'tablicy i napiszi datu”.

Na pierwszym miejscu dla klas z wykładowym francuskim był język Camusa. I koło języka francuskiego, prowadzone przez Marię Drobniak. Wbrew dzielnicowemu sekretarzowi partii, Roman z Tomkiem, kolegą z rocznika wyżej, oglądali filmy o regionach Francji.

Nauczyciele piłowali ostro jak Zygmunt Jakubowski, matematyk. Lub piłowali łagodnie, jak Florentyna Jankowska, dama subtelna jak kwiat. - Rzucam kredę - oznajmiała i delikatnie odkładała ją na stół. Uczyła fizyki i Romana, i Tomka, który później został fizykiem.

- Najważniejsze, że to była szkoła naprawdę ogólnokształcąca - podkreśla noblista. Nie było przesadnego profilowania. I fizyk, i przyszły informatyk byli biegli w językach obcych, polskim i historii.

Tadeusz nie był dobrym uczniem. Nauczycielka chemii Maria Winklerowa w dziewiątej klasie zagroziła Tadeuszowi, że jeśli się nie poprawi, nie dopuści go do matury. Jako syn słynnego geografa, wolał uczyć się tego przedmiotu.

Do "Marcinka" chodził w latach stalinizmu. Chłopcy zrobili nielegalnie kopię klucza do auli. Dwóch uczniów, biegłych w grze na fortepianie, na zmianę grało na instrumencie, a reszta biegała, tańczyła. Tablice wycierano szmatami, bo gąbek syntetycznych nie było, a naturalne były zbyt drogie. Te szmaty często łądowały na portretach Bieruta i Stalina.

Uwagę chemiczki wziął sobie do serca. Deszczowe lato 1953 r. spędził czytając podręczniki chemii. - Zauważyłem pewne relacje, chciałem je zrozumieć. Musiałem czytać dalej - mówi.

I już w dziesiątej klasie startował w olimpiadzie. 17 lat po maturze, w 1972 r. opracował teorię ilościowego określenia aromatyczności związków. Teorię rozwija do dziś. A książka z lat 70. cytowana jest na całym świecie 30 razy rocznie.

Prof. Tadeusz Krygowski odbiera polskiego Nobla w tym roku. Prof. Bogdan Marciniak, nagrodzony Noblem za odkrycia w dziedzinie katalizy, przypomina sobie nazwiska pozostałej czwórki: - Andrzej Jajszczyk, Jan Węglarz, Roman Słowiński, Tomasz Dielt...

Trzy lata starszego Krygowskiego, też chemika, poznał na studiach. Zanim jednak w 1958 r. Bogdan poszedł studiować chemię, myślał o matematyce. - Czułem się w niej pewnie, w olimpiadzie przeszedłem do stopnia regionalnego, w chemii - do krajowego. Widocznie nie byłem jednak tak dobry, by znaleźć w matematyce pole dla kreatywności. A ja miałem potrzebę praktycznego działania.

Tak jak inni przyszli nobliści z Marcinka dziewczyny spotykał głównie na potańcówkach. Było tak: po jednej stronie sali - chłopcy, po drugiej - dziewczęta, dwa światy przyglądające się sobie z nieśmiałością. - Na co dzień nie było ani dziewcząt, ani telewizji, nie wspominając już o internecie - mówi prof. Marciniec. - Nie przemęczaliśmy się nauką. Uczyliśmy się, bo nic nas nie rozpraszało. My byliśmy tacy cnotliwi z konieczności.

Tekst pochodzi z portalu Gazeta.pl - www.gazeta.pl © Agora SA